

szczupłej niwie. Ta siła postępu jest niczém niewstrzymaną, podwójny więc pracę, ażeby dla etnografii naszej przechować, co się jeszcze da ocalić.

K. Wl. W.

Ludzie dobrych chęci *powieść przez Teofila Szumskiego*. — *Góral powieść społeczna przez Adolfa Nałęcza (Grochowskiego)*. — *Czarne godziny powieść Władysława Łozińskiego*. Lwów. 1869.

Romanse średniowieczne, w których osią działalności bohaterów była miłość idealna, a celem wyprawa krzyżowa do Ziemi Śtój, i pogńębienie poganina, dawno się już sprzykrzyły.

Nikt dzisiaj i to nie dlatego że minęła sama już epoka historyczna, nie zająłby się żywo rycerzem wzdychającym długie lata, potykającym się na turniejach za barwę cicho ubóstwionej swjej damy, i wreszcie kark łamiącym gdzieś w dalekiej ziemi, podczas gdy jego dama usycha tu z miłości. Wyobrażenia obyczajowe przeszłych generacyj, wywołują nieraz uśmiech ironiczny na usta wnuków. Może i słusznie, bo dzisiaj gdy zasługa i praca podeptawszy przywileje rodu i rdzy wiekowej, porównała w obec siebie wszystkich bez różnicy, należy się i *uczuciom* równouprawnienie. Człowiek pracy i myśli w XIX wieku, stawszy się *wyróżną* jednostką żyjącego społeczeństwa, szuka też w łonie jego nagrody i otuchy, szuka kobiety, jako towarzyszkii gotowej dzielić z nim bezwarunkowo dołę i niedolę.

Jako pracownik niezmordowany, mający codzienne przekonanie że praca jego jest żywotną, że przynosi pożytek spółbliźnim, nie może być ideologiem, więc szukając wynagrodzenia i pociechy, pragnąłby je mieć pełne i daleko sięgające, a nie czcze i marzycielskie. Niemożebność średniowiecznych rycerzy dzisiaj, płynie już pomijając bieg odmienny dziejowy, ze samego udoskonalenia pracy, z jej wyników i ściśle z tém związanych pojęć i obowiązków. Praca, w najrozleglejszym tego słowa znaczeniu, wyrzysując iskry ducha, podniecając siły intelektualne, w przewaźnym celu ujarzmienia materij pod władztwo człowieka, pragnie w ten sposób spełnić posłannictwo ziemskie.

Urządzenia społeczne nadając prawa i domagając się odpowiedzialnych obowiązków, zacięły kwestyą religijną, będącą niegdyś pierwszým hasłem. Nic więc dziwnego, że przywiązanie do ziemskich przeznaczeń wzrosło, że członek dzisiejszej społeczności, pracując wszystkiemi siłami i widząc pracy téj wyniki, tu już, do-cześnie, póki ma zdrowie i siły, chce szczęścia, którego najpierwszym szczeblem bywa miłość.

Złąd się tłumaczy ogromne znaczenie i niezmierny wpływ kobiety w nowszych czasach. Stawszy się osłoda, wynagrodzeniem trudów, jest niejako ideałem mężczyzny, do posiadania którego tenże wzdycha, ale jest ideałem jako pojęcie nagrody i pociechy, jako uwieńczenie dzielnego trudu, nie zaś jako cześć, w obłokach unoszące się marzenie, do którego średniowieczny rycerz wzdychał, bez najnniejszej ochoty zdobycia go kiedykolwiek.

Miłość więc nowszą od dawniejszej, odgranicza przepaść nie tyle wyobrażeń i historycznego kostiumu, ile rzeczywistego postępu. Bóg kazał zamieszkać ludziom na ziemi, dał im rozum i wolę, więc nie dlatego innego, tylko żeby przeznaczenie swe ziemskie wyzyskali jak najszerzej. Kobieta staje się istotnie drugą, równą połową rodu ludzkiego. W romansie obyczajowym, miłość tak pojęta, nietylko zająć musi czytelnika, ale i wpływ wywrzeć zdrowy, a przeto ostatecznie i umoralniający. Nawet wybujałość tego uczucia, nazwana namiętnością, świadczy o pulsie bijącym żywo; namiętnostki tylko, żądze pospolite i słabostki, jak w życiu tak i w odbijającym go obrazie powieściowym, brzydką i bezużyteczną odgrywają rolę.

Lecz bohaterstwo excentryczne, czyny przechodzące moźność zwyczajnego śmiertelnika, stanowiące niegdyś w romansie tło główne i zadanie, ustąpiły nagle miejsca nowemu motorowi, który jak w świecie rzeczywistym, tak i w sztuce dramatycznej i w powieści, zapanował wszechwładnie. *Pieniądz*, oto nowe hasło młodych generacji! Pieniądz stał się dziś niemal ideał, jak niegdyś wyprawy krzyżowe, a już co najmniej potęgą, z którą się rachować potrzeba. W imię jego i przez niego mnożą się wynalazki, polepsza się komfort, doskonalili się zaspokojenie potrzeb mieszkańca ziemi, rozszerza się cywilizacya, ale też i przezeń karłowacieją dążności, maleje duch, nizezemniej człowiek, który gdy mu straty i nieszczęścia usuną z pod stóp ziemię, nie umie już spojrzeć w niebo, i ztamtąd zaczerpnąć odwagi i nadziei. Pieniądz pod wszelkimi postaciami, w najrozmaitszej formie, w najróżnorodniejszych pojawach, wdarł się zwycięzko w najwewnętrzniejsze ognisko rodziny, a ztamtąd odbił się w sztuce dramatycznej i w powieści, niemal jako pathos, jako kolidzja.

Począwszy od XVII wieku, jako epoki wytworzenia się arystokracji finansowej, z którą potrzeba się było odtąd rachować królom i magnatom, aż do czasów najświeższych, znaczenie pieniędzy wpływowe, ciągle rosło. Wystarczyłoby przytoczyć tu sprawę *Lawa*, która się tak demoralizująco odbiła w obyczajach, a która nauczyła poraż pierwszy, nieznanych dotąd spekulacyj i operacyj giełdowych.

Prąd ten gwałtowny, porywający niepowstrzymanie społeczności, odbić się musiał w literaturze. Pisarze z większym lub mniejszym talentem pochwycili nowy czynnik, i albo powstałi przeciw niemu gorąco, z szlachetnym zamiarem obalenia go bezprowrotnie, albo schlebiali mu bezwiednie, stawiając go na równi



z czynnikiem duchowym. Nie możemy tu zastanawiać się szczegółowo, i wyliczać na poparcie stów naszych liczne szeregi dzieł, nacechowanych dążnością wynagradzania cnoty złotem, dość będzie wspomnieć tu o jednym z najznakomitszych pisarzy francuzkich, który rzecz można, stworzył szkołę naśladowców, utrzymującą się po dziś dzień. Mówimy o Balzaku.

We wszystkich jego dziełach, złoto gra stanowczą rolę. W romansie p. t. *Peau de Chagrin* opisuje on ową gorączkę trawiącą jego duszę, którą pragnienie posiadania złota jego ideału, i brak zasad moralnych, przetworzyło w hipokondryę. Powieści jego jako: „*Seraphitus*, *Louis Lambert*, *Maitre Cornelius le Chef-d'oeuvre inconnu* i inne stwierdzają to orzeczenie. We wszystkich jego książkach, spotkać się trzeba ze złotem. Złoto to jego marzenie, jego muza! Oszokomia się brzękiem talarów, szelestem papierów bankowych, rozkoszuje się krzykiem skąpca, gdy ten roztworzywszy skrzynię, zatapia wzrok przy świetle bladego kaganka w blasku skarbów. Czém jest *Eugénie Grandet*, czém *le Père Goziot*, te zkądiną tak piękne utwory? Co pozostaje najdłużej w pamięci, co najsilniejsze wywarło wrażenie?—złoto. Czuć, że poeta tworząc, rozkoszował się milionami wieńców, aniżeli piękną swą bohaterką. Tak ogromny talent, tak potężny twórca, nie wywiera wpływu do jakiegoś ma prawo, lecz przeciwnie zniechęca, odbiera odwagę, demoralizuje. Złoto stało się nieszczęsnem przeznaczeniem dzieł Balzaka, tak jak się staje klęską wszystkich prawie dzisiejszych utworów. Przytłumia ono podniosłość, wstrzymuje polot idealny, tak niezbędny duszy pragnącej wypocząć, po zmudnej i męczącej rzeczywistości.

Jeżeli zaś jakie uczucie, to niezawodnie miłość powinna się oswobodzić od tego fatalnego wpływu. Bo i czemu ma być powieść, romans jak chcą niektórzy, jeżeli nie dziełem poezyi, w którejby się spotkać można było z charakterami i sytuacjami prawdziwymi i rzeczywistymi, grupującemi się około typu, przenikniętego ideą zasadniczą całości? Ideą zaś w romansie, bywa zwykle miłość. Otóż miłość tę, potrzeba ubrać we wszystkie potęgi ducha i aspiracye, albo we wszystkie boleści które się uczuło samemu, a nie kałać ją i poniżać zbiegiem wypadków pospolitych, lub czynnikiem, niegodnym wyższych przeznaczeń człowieka.

A tymczasem jak się dzieje w większej liczbie dzisiejszych powieści? Bohaterowie i bohaterki staczają walki, to prawda, ale nie z opornym własnym duchem, nie z własnymi namiętnościami, ale z okolicznościami zewnętrznymi, ze stosunkami przypadkowymi, z przeszkodami postawionemi w drodze samą martwą i materialną potęgą. Jeśli więc zwyciężają, to nie ich duch zwycięża, jeśli tryumfują to nad brutalną materją, którą się im udało ujarzmić jakimś szczęśliwym trafunkiem. Zewnętrzność w najrozleglejszym tego słowa znaczeniu, stanowi zawsze kanwę.

Cała szkoła dzisiejszych realistów francuzkiej powieści, abdykowała dobrowolnie z idealnego a przecież przez to nie odskaku-

jącego od rzeczywistości pokroju; wyrzekła się rozkoszy mistrza, wprowadzającego w zachwyt widza głębokością pomysłu i promieniem idealnym na korzyść i efekt chwilowy, wywarły dosadną wiernością fotografii. Mieszczuch, kiedy czyta romans p. Champfleurego, nie może wyjść z przyjemnego zadziwienia, bo znajdzie tam swój szlafrok którego codziennie używa, i swe poglądy które stanowią jego chleb powszedni, ale też nic a nic więcej. Kiedy kartkę ostatnią doczytał, może iść spać najspokojniej, nic snu mu nie przerwie, żadne westchnienie nie wydobędzie mu się z piersi. Romans taki był mu akurat tak potrzebnym, jak czarna kawa po obiedzie. Ani trochę więcej. Czytał o miłości wprawdzie, ale o takiej miłości słyszy codziennie, na bulwarze, w teatrze i w pogadankach kumoszek, zna doskonale wszelkie jej odcienia, i jej najtrzywialniejsze zakończenie. Miłość też taka wcale go nie nęci; gdy się znuży życiem samotnym, ożeni się spokojnie i flegmatycznie.

A jednakże miłość jest jednym z najszlachetniejszych uczuć, najdoskonalszym bodźcem ludzkiej ambicji, najpiękniejszą nagrodą za trud i mozół. Potrzeba ją więc w takim świetle przedstawić ogółowi czytelników, a wtedy dopiero staje się ona istotnym czynnikiem duchowym i umoralniającym.

Takbyśmy pragnęli mieć pojętą miłość w powieści.

Miedzy pragnieniem a spełnieniem, dość wielki istnieje przedział; lubo zastrzedz sobie musimy, że powyższych zarzutów, nie myśleliśmy wprost i bezwarunkowo stosować do polskiej literatury powieściowej i dramatycznej. Mówiliśmy ogólnie, nie mając bynajmniej pretensji wywoływania po nazwisku, a jeżeli pozwoliliśmy sobie na kilka słów przedwstępnych, do rozbioru trzech świeżo z druku wyszłych powieści, to nie zaprzeczamy iż może dlatego, że je one mimowolnie wywołały.

We wszystkich trzech albowiem, złoto, brak jego, lub dostatek, chęć zdobycia go jakim bądź godziwym lub niegodziwym sposobem, stanowi główną oś, około której jak ćma około świecy, obracają się bohaterowie. A jakkolwiek, odmiennie i z różnym naciskiem przeprowadzone są walki, kolidyze i zwycięstwa, to jednak nie dopatrzyć się pewnego ubóstwa idei, punktów wyjścia czy tendencji, byłoby trudnym. Znamy przecież wszyscy takie powieści, podczas czytania których dusza uniosła się wyżej, w jakieś czarodziejskie a możebne krainy, w jakiś krąg rozkosznych a możebnych złudzeń, i w świat dzielnych i doskonalszych ludzi. Jak to przyjemnie odetchnąć na chwilę, i nie czytać o giełdzie, hipotece, milionach, posagach, banknotach przetapianych z nafty odkrytej przypadkowo, nie czytać o wierzytelności, lichwiarzach, gdy pędząc w bezwstyd; bogactwie wyrabiającem nielitościwie serecal Jak to zdrowo zapomnieć na chwilę o tój stereotypowej rzeczywistości, a jakim to orzeźwieniem dla znużonego umysłu, przeczytać raz o dzielnych czynach cucących ducha, o zacnych ludziach rozprowadzających zbawienne ciepło w serce! Lecz nie



uprzedzajmy niedobrze czytelnika, byłoby to niesprawiedliwością, przynajmniej względem kilku istotnych zalet dwóch pierwszych powieści, zatytułowanych: „Ludzie dobrych chęci” i „Góral.”

Poznajmy się z treścią pierwszej.

Pan Boromeusz Brzoza jest urzędnikiem mieszkającym we Lwowie o pensji 45 guldenów. Ta cyfra etatowa z góry już uprzedza o kłeskach, jakie spotkać mogą biednego kancelistę, obarczonożego żoną, synem i dwiema córkami, Melanią i Stasią. Jestto człowiek z gruntu serca dobry, uczciwy, ale nieporadny i nietęgiej głowy, bo się dał zawojować żonie, lubiącej żyć nad stau, nad możność i nad nadzieję polepszenia kiedy bytu. To życie nad stan, nad dochody, pociągające w następstwie za sobą długi bez końca, biedę a w końcu nędzę, walka nieskuteczna z nią i wynikające ztąd ścieranie się z niehumanym a przynajmniej obojętnym jak zawsze światem, stanowią główną ośnowę powieści. Panu Boromeuszowi zaarrestowali za długi pensyą, a w końcu dali mu dymissyą. Nędza w postaci głodu i choroby, rozgościła się w rodzinie na dobre. Przynosił jój tylko ulgę, niejaki pan Alexander Szeremet, ukończony technik, tak samo ubogi ale wytrwały, dzielny, hartowny pracownik. Mimo szalonych wysiłen nie jest w stanie zdohyc sobie dostatek i zapewnić los rodzinie, która go obchodzi żywo. Kocha albowiem Stasię, dziewczę skromne, silnej duszy, i pracowite. Nareszcie nie dając się ugiąć przeciwnościom, zostaje wynagrodzony, bo otrzymuje bardzo korzystną posadę; lecz kiedy przybył na pomoc panu Brzozie, zastał już jego trupa. Pan Brzoza skończył życie samobójczo, nie mogąc dłużej znieść ciężaru życia.

W liście przedśmiertnym napisał z gorzką ironią: „Chociażby w kieszeni mojej nie znaleziono grosza, sprawić mi muszą trumnę.” Stasia zostaje żoną Szeremeta.

Treści jak widzimy skąpo, bardzo skąpo, ale to nie stanowi błędu powieści, tylko jój nieproporcjonalność. Początek szeroko zakrojony, rozwinięcie nieodpowiednie, a koniec najzupełniej przerywany. W chwili gdy autor najsilniej obudził ciekawość, gdy sceny najdramatyczniej nawiązał, urywa nagle z niezmiernym pośpiechem, a nadto pospolicie, że już nie powiem: sposobem zużytym, praktykowanym od wieków we wszelkich moralizujących powieściach. A żałujemy tego szczerze, bo charakterystyka w kilku miejscach silna, obserwacya trafna i obznajmienie się ze sferą małomieszczańską doskonałe. Autor wniknął bystro w bolesne epizody smutnego życia ludzi, żyjących z codziennego twardego zarobku, i dał nam kilka obrazków wcale żywych i przejmujących. Z tém wszystkiem tytuł „Ludzie dobrych chęci” niczém a niczém nie usprawiedliwiony. Bo któż tu jest człowiekiem dobrych chęci? Pan Boromeusz? Prawda, lecz cóż winien temu, że nie znalazł zarobku, kiedy chciał szczerze pracować? Wszakże on nie poprzestawał na samej *chęci*, ale chciał istotnie czynu, a tylko zdolności nie miał odpowiednich któreby mu zapewniły dostatek.

Pan Szeremet? Ale wszakże ten, to bohater powieści i jest istotnie człowiekiem czynu a nie samych tylko chęci? Nie jest nią również Stasia, ani Melania, bo wreszcie jako kobiety skromnego ogniska, nie miałyby pola uwydatnić czynem swych chęci. W rezultacie więc, autor nie usprawiedliwił tytułu, co więcej, tytułem zbałamucił czytelnika. Gdybyśmy mieli prawo i uważali za stosowne pisać recepty dla autorów, to zrobilibyśmy skromniutką tutaj uwagę, tę mianowicie, że trzeba oszczędnie szafować jaskrawymi kolorami, i że zasmucając czytelnika obrazem realnym nędzy, trzeba mu pozwolić odetchnąć odrobiną powietrza, kawałeczkiem pogodnego nieba, inaczej udusi się z ciemnoty, z przygnębienia i ze zwątpienia. Pan Boromeusz źle wprawdzie zrobił, że niemając nic, że będąc tylko kancelistą ożenił się, jeszcze gorzej, że miał kilkoro dzieci, a najgorzej że sobie życie odebrał; ale tak przy ciśnieniu ze wszystkich stron, jak go autor odmalował, kto wie co czynić pozostało! Jeżeli autor umyślnie chciał przezto zaznaczyć fatalizm, nieodłączny z nędzą ludzi lepszego niby stanu i wychowania, owych stojących w pośrodku między prostym wyrobni-kiem, który pracą ręczną na chleb zarabia, a człowiekiem dostatnim żyjącym odpowiednio do swego wychowania i ukształcenia, to nacóż odbierać wiarę i nadzieję tysiącom podobnych, a niechęcych kończyć samobójczo? Prawda jest na to ratunek, albo podwyższenie wykształcenia, albo zniwelowanie. Ale pierwszy środek jest trudnym, bo ściśle związanym z dobrobytem ekonomicznym i moralnym kraju, drugi prawie barbarzyńskim. Potrzeba przeto w powieści przede wszystkim wytykając złe, podnosić czytelników na duchu jakąś ideą wyższą, krzepiać ducha, gdy nie jest w stanie zaspokoić potrzeb ciała.

Styl p. Szumskiego jasny jest i zwięzły, lubo nie dramatyczny. W ogóle zaś poznać w autorze zdolność pisarską, z pierwszego zaraz rozdziału; niechaj się tylko puszcza śmieliej na szerszy horyzont, nie lękając się zajrzeć namiętności w oczy, i zgnieść ją potem w energicznem przeciwstawieniu.

Powieść p. t. „Góral”, przenosi nas zaraz na wstępie w stoki północne Karpat, z których wytryskują źródła rzeki Świcy. Okolica górzysta i skalista, pełna wąwozów, przepaści i niebezpieczeństw; ciszę przerywają tylko orły i sępy zrywające się z łopotem skrzydeł z wierzchołków drzew, lub łoskot spadającego nagle spróchniałego drzewa. Jedną z dróżynek, po której tylko górale chodzić umieją, szedł młody góral nazwiskiem „Jontek”, ze strzelbą na ramieniu. Nagle słyszy krzyk przestachu, krzyk kobiecy; dociera do miejsca i widzi trzech ludzi szamocących się z młodą kobietą. Poznaje w nich dwóch górali i trzeciego nieznanego, osłoniętego płaszczem. Na rozkaz Jontka, górale schyliwszy głowy z uszanowaniem, puścili kobietę a związali nieznanego. Kobieta została pod opieką wybawiciela, który z czcią najwyższą, z uwielbieniem dla jej piękności, czuwał nad nią aż do drugiego dnia, z braskiem dopiero którego odprowadził ją, gdzie życzyła.



Kobietą tą była panna Wanda, siostrzenica właściciela przyległej wsi Dębowy, pana Borowskiego.

Uwiózł ją siłą i podstępem niejaki pan Modniarski. Cel, dla jakiego popełnił ten czyn zbrodniczy, i wiążące się z nim następstwa, oto główna intryga powieści.

Pan Modniarski jestto młodzieniec 28 letni, lecz pooranęj przedwczesnemi zmarszczkami twarzy, świadczącemi o burzliwem i na łonie uciech przepędzonem życiu. Jest on lwem salonów Lwowa, jego ozdobą w miejscach publicznych, a zarazem siostrzeńcem tegoż samego wujaszka, właściciela pięknego klucza Dębowskiego. Wujaszek kochał go czule, płacił za niego ogromne długi, i przebaczał wiele, ale mu się to sprzykrzyło nareszcie; więc sprowadził do swego domu ubogą siostrzenicę Wandę z matką, i do tej przywiązał się wkrótce całą duszą. Wię o tém marnotrawnik, i dlatego pozbyć się jęj chciał jakimbądź, najniegodziwszym choćby sposobem. Pozbyć się chce koniecznie i szybko, bo mu wierzyciele nie dają spokoju, a między innymi pan Kiteles, nieubłagany, zimny a zdzierczy lichwiarz. Z nim to, po powrocie z niefortunnej wyprawy, gdzie go jeszcze obdarł do nitki wspólnik jego arendarz z Dębowy, układa nowy plan usunięcia kuzynki, zabierającej mu schedę wujaszka.

Plan to straszny i zbrodniczy, ale nikczemny egoista nie przebiera w środkach. Wysłał do wujaszka niejaką Kirkowską, kobietę podejmującą się za pieniądze najhaniebniejszego rzemiosła. Ma ona się tam wkręcić jako klucznica.

Tymczasem Jontek, z którego pierwszych słów poznać można było że nie jest zwyczajnym góralem, to jest że prócz szlachetności i poetyczności właściwej temu ludowi, odebrał jeszcze wyższe wykształcenie, bywał we dworze pana Borowskiego i zadziwił wszystkich swszem obejściem, wykształceniem i znajomością obcych języków. Wanda uczuła do niego odrazu głęboką sympatyę, która każdej chwili mogła się przemienić w miłość. Jontek uprzedził ten ostateczny wynik, doraźném, silném, gorącym uczuciem. Lecz pan Borowski, szlachcic staréj daty, z przestachem prawie patrzył na człowieka chodzącego w guńce góralskiej, a rozmawiającego jak magnat pierwszój wody. Chciał go nawet zrazu wynagrodzić datkiem pieniężnym, za czyn poświęcenia względem siostrzenicy. Nie wiedział jeszcze, że Jontek wprawdzie syn wieśniaka, ale w skutek okoliczności, wyrzucony dziecięciem prawie za granicę, przyswoił sobie wszystko, co odznacza dobrze wychowanego i wykształconego człowieka. Za granicą nauczył się obracać pracą i pieniędzmi, a los tak mu dopomógł, że posiadał ładne gospodarstwo i znaczny majątek.

W owym lesie kiedy związano nieznanomego, którym był jak wiemy, Modniarski, znalazł Jontek jego pugilares a w nim papiery. Z nich dowiedział się nazwiska napastnika, i celu uprowadzenia Wandy. Zaniepokojony, postanowił milczeć, ale czuwać nad bezpieczeństwem dziewczycy, o której nie mógł już myśleć obojętnie.

W toku zdarzeń i wysłania Kirkowskiej do Dębowy, wypadła Jontkowi podróż do Lwowa. W hotelu zetknął się z dawnym towarzyszem i przyjacielem Władysławem. Po serdeczném przywitaniu gawędka, z której gdy się Jontek dowiedział, że siostra przyjaciela zaręczoną jest z Modniarskim, oświadcza mu wręcz że z tego nic być nie może, bo Modniarski jest zbrodniarzem. Zasmucony Władysław, zaprasza go na wieczór do domu matki.

Przybył tam nasz góral, gdzie zastał liczne towarzystwo. Kiedy wszedł do salonu Modniarski, zaczepiono go żartami, gdzie się tak długo ukrywał, czy prawdą jest jak wieść niesie, że porwał w górach kuzynkę Wandę i t. p. Modniarski niezmiernie się zmieształ, i w odpowiedziach poplątał, ale gdy nadrabiając miną rzucił potwarcze słowa téj treści, że jego kuzynka zakochała się podobno w prostym góralu który ją chciał wykraść, wtedy Jontek niemogący dłużej pohamować oburzenia, wystąpił na środek salonu i cisnął mu w twarz oskarżeniem, iż nikczemnym uprowadzicielem zacnej kuzynki był on sam, a nie kto inny. Zdemaskowany w obec świata, tém namiętniej przyczepił się do ostatniej deski ocalenia mającej mu dostarczyć pieniędzy. Zniknął więc nagle ze Lwowa, udawszy się potajemnie do Dębowy, na miejsce działalności swój współpracownicy Kirkowskiej. Za jej pomocą dowiedział się, że wuj nie sporządził nowego testamentu, że więc nagła śmierć jego, zrobiłaby go dziedzicem. Nagłą śmierć ułatwić miała współpracownica, podająca panu Borowskiemu często leki własnego pomysłu. Atoli kucharz, nienawidzący nowej klucznicy, szpiegował ją na każdym kroku, chcąc ją złapać na jakimś przewierstwie. Lecz jak to mówią: „wybrał się na zając, a upolował niedźwiedzia” bo kiedy raz czatował na nią w ogrodzie, ułyszał jej rozmowę z Modniarskim, nakazującym jej stanowczo przyspieszenie śmierci. Odtąd strzegł jej pilnie jeszcze, aż w kilka dni potem, w chwili gdy Modniarski chciał zabić klucznicę dla zabezpieczenia się przed nią, schwycił go wpół, lecz uderzony w głowę, upadł nieprzytomny; zbrodniarz zaś pewien, że Borowski wypił podaną mu przez Kirkowską truciznę, uciekając dwór podpalił. Klucznica wyznała wszystko, Modniarskiego schwytano i oddano władzy jako podpalacza, ale dawni jego współpracownicy, ów arendarz i dwaj górale, obawiając się ażeby ich nie wydał, sprzątnęli go po cichu.

Naturalnie że góral Jontek ożenił się z dziedziczką Dębowy. Numa posłała za Pompiliusza. Podaliśmy umyślnie treść obszerniej, iżby uwydatnić to co w powieści istotną jest zaletą, to jest rozwój dramatyczny samój akcji, ale czy ta powieść ma prawo zwać się „społeczną” o tém pozwolimy sobie wątpić. Prawda, odgrywa się ona w naszym społeczeństwie, w tém znaczeniu literalném jest społeczną, ale przecież tytuł „Góral” naprowadza na oczekiwanie, zapoznania się z tą właśnie częścią ludności, tymczasem oczekiwanie zawiodło. Wszakże Jontek o tyle tylko był góralem, że lubi nosić guńkę góralską i że ma gospodarstwo w górach, boć zresztą



ani wychowaniem, ani pojęciami, ani marzeniem przyszłości nie przylega on do gniazda, z którego się wylegnął. Już dziecięcy wiek przecie przepędził za granicą, więc niema nawet wspomnień rodzinnych-miejscowych. Jeśli zamieszkał napowrót w górach, to było dla niego rzeczą gustu, ale nie ową koniecznością rasy, ową tęsknotą niewypowiedzianą, płynącą w żyłach górala. Nie jestto więc powieść w tém znaczeniu społeczna, iżby przedstawiała górala z ciała i ducha w zetknięciu się z innemi warstwami, z odrębnym od niego światem. Nie, Jontek należy mocą wykształcenia do towarzystwa lepszego, a jeśli szanują go bracia jego górale, to dlatego że był dla nich dobry i wspaniały. Tak samo szanowali by każdego innego dobrego; autor nam tego nie dowiedzie iżby Jontek zdobył sobie tan szacunek u nich *równością i podobieństwem* pojęć; nie, na to trzeba było żyć z nimi, smuć się i radować wspólnie, jeść i pić u jednego stołu, a Jontek przecież żył i wychował się w obczyźnie. W tytule i denominacji, jako wreszcie w samém przeprowadzeniu charakteru Jontka, widzimy pewną manierę, lub może: tendencyjność. Czy tylko ta ostatnia w praktycznych rezultatach byłaby zbawienną?

Podniosły zamiar autora, pragnie tego, za co mu przykłaśnać należy. W pierwszym razie, traci utwór na wartości, autor czuje się kępowany, pozbawiony swobody, dyktującej mu szerokie malowanie natury ze wszystkimi jęj właściwościami, złemi i dobreimi. W powieści tej zapoznaliśmy się z wieloma osobami, narysowanemi trafnie, ale właśnie nie z „góralem” o którego by w tym razie najwięcej chodziło. Piękny krajobraz, rzucony tu i owdzie opis natury, nastrajał nas ponętnie, tymczasem czekaliśmy napróżno; zapoznawaliśmy się z Kubą, Maciejem i Szymonem, ale byli to wieśniacy jak tysiące innych, nie zaś górale, najcharakterystyczniejsi z pomiędzy współziemian.

Piękna za to forma, psychologiczne reflexy i zdolność dramatyzowania, wynagradza nam niedostatek powyższy, wskazując w autorze, p. Adolfie Nałęczu (Grochowalskim) jednego z lepszych powieścio-pisarzy. Formę udatną tém więcej cenimy, im trudniej spotkać się z nią można u lwowskich młodszych pisarzy, a między innemi u autora powieści p. t. „Czarne godziny” pana Władysława Łozińskiego.

Z prawdziwą trzeba się łamać trudnością, chcąc opowiedzieć dokładnie treść tej powieści. Trudność ta nie leży tyle w sporym, zanadto nawet sporym tomie, ile w rozwlekłości i powtarzaniu jednych i tych samych opisów, jakotóż w licznych epizodach z przeszłości, odrywających niemiłe uwagę czytelnika. Budowa, ten warunek niezmiernie ważny w powieści, jest tu nadzwyczajnie słaba, niedbała, prawie niedołączna. Autor przeskakuje z przedmiotu na przedmiot nie wiążąc jednego z drugim, a gdy rozpoczyna ciąg dalszy, nie jest to rozwój, ale rekapitulacja. Charakterystyka np. Harnasza, głównego bohatera powieści, powtarza się co kilka

kartek, a opisanie rozpaczliwego jego stanu duszy, jego nędzy i strasznego zewnętrznego wyglądu takimi nasadzone farbami, że według najprostszych zasad patologii, z człowieka tego, gdyby był nawet żelaznej komplexyi, powinienby pozostać kościotrup już na dziesiątej kartce. Tymczasem na szczęście czy nieszczęście czytelnika, kościotrup ten żyje, i nawet na końcu powieści doskonale wygląda, obiecując żyć długie jeszcze lata. Tak samo nie szczędził autor opisów Reginy, które co najmniej stają się nudnemi. Po sto razy dowiaduje się czytelnik o jej „marmurowém czole,” o „zwojach kruczych włosów” o „dumnej, wyniosłej postaci” i o iskrzącém oku.

Nadto epizody objaśniające przeszłość każdej niemal figury, spóźniają działanie, niszcząc cały możebny efekt zależący właśnie na opowiadaniu żywém, budzącém coraz większe napięcie, na tém dramatyczném *crescendo*, którem się odznaczają utalentowani powieścio-pisarze.

Zawezwijmy jednak na pomoc pamięci, i rzecz wziętą trochę z początku, trochę z końca, a trochę ze środka, zszyjmy w jedno.

W mieście Lwowie żyje na najlichszym poddaszu starzec nazwiskiem Harnasz. Żółty, pomarszczony, przygarbiony, wyschnięty, z oczami zapadłymi w głąb, stał się przedmiotem pogawędek mieszkańców całego domu, tém więcej, że się wszyscy domyślają u niego strasznój nędzy. Istotnie, całe jego umeblowanie stanowi lichy barłóg, a całe jedzenie kawał suchego chleba. Podtrzymuje go atoli myśl jakiejś zemsty, z której się wprawdzie nikomu nie zwierza, ale o której dowiaduje się czytelnik, z bardzo długich monologów, i z pewnego spaceru, na którym Harnasz uniósł się zbyt gwałtownie; dostrzegłszy albowiem jadącą karetkę, a w niej średniego wieku mężczyznę, rzucił się nań z kijem. Mężczyzną tym był niejaki pan Mrokowski, obywatel bardzo bogaty; za nim zaś jechały tuż zaraz w kabrioecie córka jego Ludwika, i druga żona Regina.

Długi, bardzo długi czas, (przeszło 380 stronnic) upływa, zanim się czytelnik dowiaduje na pewno (choć domyślić mógł się zaraz na początku), że pan Harnasz nazywa się właściwie Żarnickim, że pan Mrokowski jest jego zięciem, lecz złym i okrutnym. P. Żarnicki albowiem na wzór króla Lira, oddał za życia cały swój majątek zięciowi, a ten później obchodził się z nim najhanniebniej, tak że go przymusił do opuszczenia własnego domu, i tułania się w nędzy i rozpacz. Tułaczka ta trwała długie lata, w ciągu których córka Żarnickiego umarła, a p. Mrokowski ożenił się z cudownej piękności panną Reginą, hrabianką Szklicką. Lecz to ożenienie, do którego się wziął podstępnie, przypawiło go o zgon. Rzecz się tak miała:

Hrabiostwo Szkliccy, przetrwonili olbrzymi majątek, i jedyną nadzieję dalszej egzystencji pokładali w bogatém wydaniu córki za mąż. Życzenia ich zetknęły się z wolą córki, która się szalenie



zakochała w niejakiemu hrabi Albercie, typie skończonym piękności, ukształcenia i wielu innych zalet. Chodziło tylko o zbadanie jego majątku, a zarazem o milczącą deklarację, że długi hrabiostwa zapłaci. Hrabia Szklicki zapytuje go wprost w tej dosyć drażliwej kwestyi, a Albert odpowiada że jest ubogim, i nazajutrz znika bez śladu. Mrokowski, który już wtedy bywał u Szklickich i kochał się namiętnie w hrabiance, gdy usłyszał od Szklickiego o odpowiedzi Alberta, wyraził swe zdziwienie, zapewniając, że hrabia Albert ma u niego kilkakroć deponowanych. Regina, i tak już zgnębiona zniknięciem Alberta, gdy się o zatajeniu tych summi dowiaduje, oddaje bez wahania rękę parweniuszowi Mrokowskiemu, człowiekowi starszemu, wstrętnemu jej pod każdym względem. Otóż w tém tkwił podstęp niecny Mrokowskiego, że summy hr. Alberta darowane mu przez milionową ciotkę, leżały już dawno deponowane u niego, a on nie wspominał o nich ani słowa. Dopiero odesłał je Albertowi, gdy się już z Reginą ożenił. Regina nie mogła przezwyciężyć wstępu do swego małżonka, mimo że ten na klęczkach zebrał jednego jej spojżenia, a wstęp ten wzrósł do najwyższej nienawiści, gdy w rok potem w niespodzianej rozmowie z Albertem, dowiedziała się o haniebnym oszustwie, jakiego oboje padli ofiarą.

Równocześnie Harnasz, przechodzący wszelkie stopnie nędzy, jakie fantazya a może i rzeczywistość wymyślić jest w stanie, wygrywa na loteryi liczbowej kilka tysięcy guldenów. Ocucony jakby iskrą elektryczną, jedzie w znaną sobie okolice do pana Anzelma, ubogiego dzierżawcy. Ratuje go od komorników wygranymi pieniędzmi, pod warunkiem iżby wszedł z nim w spółkę. Spółka polegała na kopaniu ziemi w gruntach pana Anzelma, kopanie miało odsłonić skarb czyli olęj skalny. Kopali zawzięcie długie miesiące, ogołociwszy się z ostatniego grosza, postawiwszy na kartę przyszłość własną i rodziny pana Anzelma. Nadarmo! W okolicy śmiano się jak z waryatów, aż pan Anzelm wpadł w rozpacz i wściekłość do tego stopnia, iż pewnej ciemnej nocy rzucił się na Harnasza, stojącego z zapaloną świeczką nad wykopanym dołem. Podczas szamotania się, świeczka wpadła w dół, i nagle straszliwy rozległ się trzask, a zaraz potem płomień wybuchnął na wierzch. Był to olęj skalny. Harnasz wraz ze współnikiem zostali milionerami.

Teraz łatwiej już mściwemu starcowi wygrać proces, istotnie też wygrywa go i to w chwili, gdy katastrofy, niby pioruny biją jedna po drugiej, w zbrodnicze Mrokowskiego czoło. Regina albo wiem ucieka z Albertem. Cios to nie do zniesienia dla niego. Do staje pomieszczenia zmysłów, a Harnasz czyli pan Żarnicki przebacza, i wydaje swą wnuczkę Ludwikę za ukochanego przez nią młodzieńca. Pomijamy liczne inne dodatki, jakoteż dzieje podrzędnych osób; nie należą one do głównego toku opowiadania, a nie są znowu tak wykonane, iżby pominięcie to stało się z krzywdą

dla czytelnika. Wszystko to wzięte razem, nazywa się „Czarne godziny.” Mają to być czarne godziny Harnasza, chociaż trzeba być sprawiedliwym że i p. Mrokowski nie miał różowych, ani Regina, ani Albert, ani Ludwika, ani kochający ją Hieronim. Wszyscy bez wyjątku mieli czarne godziny, a nie będziemy złośliwi gdy powiemy, że cokolwiek miał je i cierpliwy czytelnik.

Ze wszystkich charakterów tej powieści, jeden tylko *zakrawa* na oryginalny, to jest Harnasz. Jaskrawy on wprawdzie i często nienaturalny, czasem wcale niemożliwy, ale przynajmniej odmienny od reszty towarzystwa, samych dawnych naszych znajomych. Mrokowski, parweniusz, jakich wielu, a taki zimny i absolutny egoista, że kara jaka go spotyka przez ucieczkę żony, jakoteż obłąkanie, nikogo nie wzrusza. Regina, to wymokły typ zużytych Sadowskich heroin, kończy tylko moralnie, bo jej autor w dwa dni po ucieczce umrzeć każe. Nagła taka śmierć, niewiadomo czy nastąpiła skutkiem przeziębienia się w drodze, ale bądź co bądź zaspokoila sumienie autorskie i obawy tych, którzyby się takim rozwiązaniem czuli zaniepokojeni. Czy jednak czuł się kto zaniepokojonym? Bardzo wątpimy: gdyby tak było, musielibyśmy gorąco pochwalić talent dramatyczny autora, a tego właśnie żadną miarą uczynić nie możemy. Goni on wprawdzie za efektami, zawiązuje intrygę, wysuwa malowane dekoracye, ale z tego wszystkiego wieje taki chłód, taki brak „świętego ognia” że się nikt mimo najlepszych chęci rozgrzać nie może.

Przypatrzymy się teraz formie, może ta nas wynagrodzi. Nie, hynajmniej, a raczej niestety! Prawdziwie zdumieć się trzeba nad takim lekceważeniem języka, w którym się pisze powieści grubotomowe. Germanizmy stósowane żywcem, całe zwroty jakby przełożone z niemieckiego języka, rozwlekłe na kilkanaście wierszy okresy, najgorzej użyte przekładnie, przytem samowolnie utworzone wyrażenia, przekrecone niegramatycznie wyrazy, budzą w czytelniku niesmak i zniechęcenie. Chciałoby się koniecznie część tych błędów zepchnąć na mylne drukowanie, ale niepodobna, bo powtarzają się bardzo często z uporem, z pretensją uzyskania prawa obywatelstwa. Uważamy za obowiązek przytoczenia ich tu kilkunastu, w porządku kartek, jak po sobie następują:

(Str. 3) „Niespokój jego wzroku *korrespondował* z wyrazem jego fizyonomii.” Nie mówi się „*zajmywać, pojmywać, przeżymywać, ujmować, podejmować.*”

Albo taki zwrot: „Ten dziwny *kalejdoskop* spojrzeń i *wyrazów* (jakby ich było kilka) twarzy, był tylko tajemną *stenografią* owęj rozmowy”. Na str. 3 i 4 okres 11 wierszowy, w którym zaimek: który, która, które, nie daje odetchnąć. (Str. 5) Nie mówi się coś *naksztali* lzy, ani *naksztali* roztargnienia, ani *zamysliwał* ani *szkandął*, ani „*umykając* podanej sobie dłoni.” Nie bardzo też to po polsku: „brak to sobie do wiadomości”, lub: „junonicznym *nimbem* królująca na czołe duma,” lub „cera jej uderzała prześlicznym



*inkarnatem*" lub: „jego rumiana twarz miała w sobie... coś ze sprytu i chytryści *wielkomięskiej kanalii*." Nie mówi się też: „staruszek się *uszkodził*" bo tylko rzecz nieżywotna się uszkadza, i t. d. i t. d. W ten sposób przeszliśmy zaledwie stronnicy 59, a jest wszystkich 422. *Sapienti sat!*

*Edward Lubowski.*

Chemia w obrazkach z życia codziennego *wypracował*  
*Hipolit Witowski, członek Towarzystwa Naukowego*  
*Krakowskiego.*

Jeżeli poznanie przyrody, zbadanie jej praw i tajników od najdawniejszych czasów nadzwyczajne w ludziach budziło zajęcie, to czasy nasze mają tę zasługę, że wykazały olbrzymią doniosłość nauk przyrodniczych, wyrobiły im w systemie wiedzy ludzkiej, wybitne i niezachwiane stanowisko. Wysokie znaczenie jakie nauki te mają nietylko pod ogólnym, teoretycznym względem, ale i nadzwyczajne korzyści, jakie z każdym dniem płyną z nich dla ludzkości są powodem, że na Zachodzie starają się, ażeby umiejętności matematyczno-przyrodnicze przyjąć za podstawę wychowania publicznego, chociażby ze szkodą tak zwanych nauk humanitarnych, a z drugiej strony pracują nad rozpowszechnieniem wypadków badań najnowszych, uczynieniem ich dla ogółu jak najprzystępniejszymi. Dzięki systematyczne, ściśle naukowe, nie prowadzą do tego celu; potrzeba do tego tak zwanych dzieł popularnych. W Anglii, we Francyi książki tego rodzaju ukazują się z dniem każdym, a nakłady obliczone na sta tysięcy egzemplarzy rozchodzą się z nadzwyczajną szybkością. U nas częściej można się spotkać z lichym przekładem mierniej książki niemieckiej albo francuskiej, a nawet z oryginalną pracą systematyczną, aniżeli z książką, któraby zasługiwała na nazwę książki popularnej, i dlatego każda praca w tym kierunku odpowiadająca celowi zasługuje na szczególne uznanie i poparcie z naszej strony.

Do najlepszych książek popularnych, jakie w ostatnich czasach u nas się ukazały, należy niezaprzeczenie Chemia w obrazkach p. Witowskiego. Nie jest to właściwie chemia, ale obfity zbiór nader ciekawych i pożytecznych wiadomości, o przedmiotach i zjawiskach, z którymi w ciągłym związku stoimy i które najwięcej obchodzić nas powinny. Zaczawszy od powietrza, którym oddychamy, i wody, którą pijemy, mówi autor o roślinie, która jest niezbędnym warunkiem istnienia człowieka; o mleku, mięsie i chlebie, jako o przedmiotach stanowiących codzienny pokarm człowieka, kreśli ich pochodzenie, skład i własności, wpływ na ustrój człowieka; następnie mnóstwo ciekawych szczegółów o wodce, jej